

Jacek Soliński
Bydgoszcz

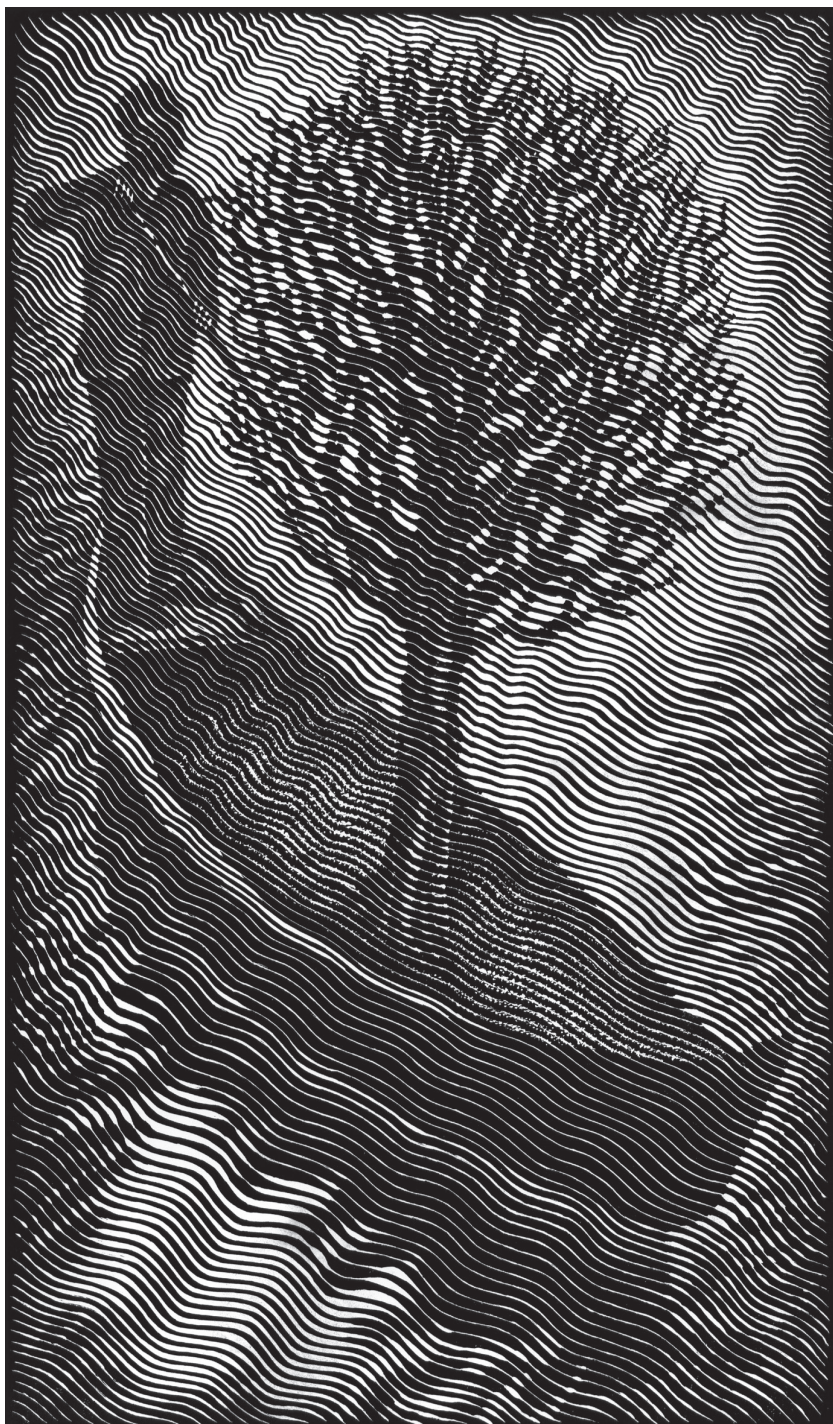
„Tu” i „tam” w tej samej chwili¹

Chciałbym, żeby moje grafiki były mapami dla wyobraźni.

Zastanawiałem się nad związkiem, jaki zachodzi pomiędzy czasem poświęconym tworzeniu linorytu i czasem, który oglądający poświęca ukończonej grafice. To dziwna zależność „spotykających się” czasoprzestrzeni. Droga, którą podążam przez wiele dni i tygodni, dla widza jest zaledwie przelotnym (może kilkunastosekundowym) przystankiem. Przez chwilę przekaz jawi się jako „sygnał” do wejrzenia w głąb. Czy można nazwać to zagładaniem do czyjegós wnętrza?

Zdarza się, że zasypiam siedząc w fotelu, a kiedy budzę się w mej świadomości, na mgnienie, pojawia się niepokojąca myśl – gdzie jestem? Ten moment przypomina nierealne przeżycie, dziejące się jakby w zawieszeniu, w czasie niejasnym, trudnym do określenia. Doznanie przejściowości staje się czymś nieomalże metafizycznym. Zagubienie w tej dziwnej rzeczywistości działa psychodelicznie. Próbuję się skupić. Lokalizuję przestrzeń pomiędzy skojarzeniami a widzianą rzeczywistością. Przejście ze snu do jawy wpływa paraliżująco, trudno znaleźć wiarygodne odniesienia. Wciąż nie wiem, gdzie jestem. Rozkojarzony usiłuję rozpoznać miejsce – czy jestem u kogoś, czy może w swojej pracowni? Jeszcze przez chwilę błądzę, porządkując rozproszone elementy obrazów. Powoli wracam do rzeczywistości. Opadam, jak ze spadochronem, na stały ład równowagi. Wreszcie szczegóły stają się klarowne. Lekko oszołomiony rozglądam się z uczuciem ulgi – już wiem, gdzie jestem, rozpoznałem otoczenie. Umiejszcowiłem swoją świadomość. Lubię ten stan, ale zawsze zadziwia mnie, bo ilekroć się powtarza, mam wrażenie (jakbym ustawicznie zapominał), że przecież zawsze budzę się w sobie

¹ Niniejszy tekst powstał z okazji mojej kolejnej ekspozycji linorytów. Jesienią, 24 października 1986 r., zorganizowałem po raz pierwszy (w dniu swoich urodzin) wystawę w Galerii Autorskiej. Od tego czasu, co roku, przygotowuję w tym dniu wernisaż. W 2016 r., już po raz trzydziesty pierwszy, jak zawsze w dniu urodzin, otworzyłem kolejną wystawę moich linorytów. Zdarzenie miało dwie odsłony (odrębne prezentacje): „Grafikomyśli 1981–1985” i „To, czego nie widać 2015–2016”. Ekspozycję zadedykowałem mojej żonie Magdalenie. Wydarzenie to było połączone z prezentacją wypowiedzi Grzegorza J. Grzmot-Bilskiego, Jarosława Jakubowskiego i Marka Kazimierza Siwca oraz mojego tekstu, który przeczytał Mieczysław Franaszek.



Ryc. 2. Jacek Soliński, *Podróżujący ogrodnik*, linoryt 2016



Ryc. 3. Jacek Soliński, *Przebijanie łodzi*, linoryt 2016

– to znaczy w swoim jestestwie, a reszta to tylko otoczenie, chwilowa dekoracja. Czy można do tego przywyknąć? Chyba nie, bo za każdym razem jest to inne przeżycie. Ale to dobrze, bo dzięki zagubieniu „miejsca obecności” doświadczam czegoś, co jest „pomiędzy”. Nieustannie znajdujemy się między przeszłością a przyszłością. W jakimś sensie praca nad linorytami jest dla mnie ustawicznym „opisywaniem” tego uczestnictwa, bycia „w sobie” i „na zewnątrz siebie”, czyli relacji między „otwarcie” i „zamknięciem”, „przeszłością” i „przyszłością”. Od wielu lat zastanawiam się, jak połączyć wymiary tych przestrzeni? Czy to możliwe? Wciąż mnie zadziwia ich współistnienie, bawię się tym, jakbym znów był dzieckiem i właśnie to odkrył. Przecież jednocześnie znajdujemy się „w sobie” i również jesteśmy „na zewnątrz siebie”. Czyż nie jest to fascynujące? Często bywam oczarowany tym odkryciem z wczesnych lat rozpoznawania świata. Jest tak oczywiste, ale jakże inspirujące – obecność „tu” i „tam” w tej samej chwili. Rzeczy proste uzmysłowione ponownie potrafią wprawić w osłupienie. Może dlatego, że znajdujemy w nich zapomnianą prawdę o sobie. Dorosłość jest pragmatyczna, obowiązuje w niej już inna skala odczuć, ale przecież zdarza się w naszym życiu coś, co możemy sobie wyjaśnić tylko tak, jakbyśmy byli dziećmi.

Rozwijając swoje linorytnicze przemyślenia, staram się analizować żywotność pamięci. Szukam w niej poetyckiego wymiaru powszedniości. Działam, jakbym zajmował się archeologią wspomnień, spaceruję bez ograniczeń w dowolnie wybranym kierunku, blisko i daleko, na różnych kondygnacjach. Wpatruję się w tę przestrzeń, czasami sentymentalnie uwrażliwiony, ale również pozbawiony wszelkiej emocjonalności. Takie wędrówki regulują tętno mojego czasu, dzięki nim mogą być jednocześnie chłopcem i osobą dorosłą. Przyporządkowuję obrazy myślom, tytuły zdarzeniom, łączę wyobraźnię z pamięcią, nic mnie nie ogranicza. Skojarzenia w tej przestrzeni cieszą się pełną swobodą, jakby prawa fizyki nie istniały, wszystko jest tu możliwe. Po co to robię? Odpowiedź jest prosta – by ocalić to, co uważam za najważniejsze. Treść grafiki – przekaz, nawet jeżeli jest oparty tylko na grze samych form, może otworzyć, dotknąć, poruszyć czy nawet obudzić w nas ukrytą głębię. To dopiero prawdziwe wyzwanie – w zwyczajności odkryć i przeżyć zadziwienie. Może to program afirmacji świata na całe życie? Przenikać z pragnień do uniesień, dotrzeć do archetypicznego piękna znajdowanego w prostocie. Ożywienie takiej perspektywy wyzwala spontaniczną radość i odczucie wolności. W codziennym życiu byłoby z pewnością łatwiejsze, gdyby można ponownie odnaleźć w sobie dziecko. Odszukać, co zagubiliśmy – przecież obraz całości to połączenie dwóch przeciwstawnych biegunów. Podobnie, jak jednoczesne bycie „w sobie” i „na zewnątrz siebie” harmonijnie zwieńcza naszą obecność, tak samo wrażliwość dziecka przenikająca w świadomość osoby dorosłej wzbogaca ją i dopełnia. Jakie to fascynujące – symbioza przeszłości, terażniejszości i przyszłości – ufność połączona z doświadczeniem i nieprzewidywalnością. Może to zapowiedź wiecznego „teraz”? Dobroczytna prostolinijność i bezinteresowność ożywia nasz czas. To wyzwalające, by choć przez chwilę dać ponieść się takiej refleksji.

I pewnie dlatego zajmuję się linorytami. Prowadząc dłutko, zmagam się z sobą, wciąż ucząc się cierpliwości. Bycie rytownikiem ma coś z osobliwej terapii, którą sam sobie doznaję. To zajęcie chroni przed wieloma niebezpiecznymi wirusami czyhającymi we współczesnej kulturze. Żyję w rzeczywistości, którą coraz trudniej mi zrozumieć, więc linoryty stają się dla mnie segmentami parawanu ochronnego, strzegącego stałych wartości. W nich zakotwiczona jest moja niespieszność wobec tzw. postępu.

Ten skromny przekaz, powtarzany w formie kolejnych urodzinowych ekspozycji, określa puls mojej aktywności. Systematycznie realizowana prezentacja stanowi aneks do rzeczywistości. W konsekwencji osobiste przemyślenia o przemijaniu stają się przejściem na zewnątrz – ku spotkaniu. Otwarcie kolejnej wystawy to świadomy akt konfesyjności, dokonujący się wobec widzów. W jakimś sensie, to dzień, który się nie kończy, to spotkanie trwające już 30 lat, rozwija się jak stan rezonansu, który wciąż mnie mobilizuje. Październikowe wernisaże w Galerii Autorskiej są moim „biletem” uprawniającym do przekroczenia progu kolejnego roku. W tym działaniu przeżywam odrębność jako miarę własnej świadomości. Przekroczyć jakieś kategorie myślenia oznacza wymknięcie się chwilowemu schematowi, dojście do nowych rozpoznań. Nabiera to sensu, jeżeli można swobodnie przejść od drażenia do zwiewności, gdy wędrujące myśli znajdują swój grunt i stają się jak pole uprawne. Każdy przeżywa indywidualnie czas od zasiania nasion do pojawienia się rozkołysanych na wietrze roślin. Ideę tego trwającego 30 lat spotkania postrzegam jako święto powszedniości, w którym słowa i obrazy mogą we mnie „rosnąć”. Przestrzeń skonstruowana z linorytów jest moim rezerwatem myśli, w nim pielęgnuję swój czas. Czy w tym ogrodzie przecinające się ścieżki, ułożone z „filozofujących grafik”, mogą służyć komunikacji? Ufam, że tak. Wierzę w bezpretensjonalną zażyłość, która wyzwala prostotę i głębię. Od połowy lat 80. ubiegłego stulecia spotykam w tym cyklicznym dniu wernisażu znane mi twarze. Otoczony przez przyjaciół odczuwam bliskość ich wrażeń i zamyśleń. Stąd jestem przekonany, że wizerunek miejsca i jego charakter współtworzą ludzie. Dzięki nim wiem, że jestem grafikiem, czyli robię to, co powinienem – kontynuuję „pisanie” swojej obecności.

Jacek Soliński

„Here” and „There” at the Same Time

Abstract

The author describes the inward and outward perception of the presence. Addressing the moment of an awakening, he approaches the state of the consciousness becoming perceptible as well balanced after being lost. This experience is compared with the kind of creativity being used by him himself (workshop graphics). The author tries to match pragmatism with sensibility. He proposes to undertake a reflection on discovering the unusual in the ordinary.

Keywords: consciousness, creativity, sensibility, graphics, Jacek Soliński.

